

OPIEKUN POLSKICH DZIECI.

Trzeba będzie ważyć, służyć,
Milczeć, cierpieć i wojować!
I nie jedno miłe zburzyć
A inaczej odbudować....

Kto tam zgadnie, gdzie osiędziesz.
Jaką wodą w świat popłyniesz,
W której stronie walczyć będziesz,
I od czyjej broni zginiesz?

Wyleć ptakiem z tego gniazda,
Miłać będzie taka jazda,
Spojrzeć z góry na twą ziemię,
I rodzinne twoje plemię....

Nr. Lwów dnia 15. kwietnia 1869. **11.**

BIĆZYK

KOMEDJA PACHOLĘCA W DWÓCH AKTACH

z czasów Kościuszkowskich

przez

Apolla Nałęcza Korzeniowskiego.

OSOBY.

ANTOŚ, FUNIA — dzieci siodlarza Jana.

TOMASZEK, KAROLEK, TADZIO, ZOSIA — dzieci rzemieślników i mieszczan.

MARCELEK, syn bogatego obywatela.

Rzecz dzieje się w Warszawie po bitwie pod Racławicami.

AKT I.

Sklep siodlarza Jana, biedny, opuszczony — kilka rzemiennych rzeczy, pokrytych pyłem, wisi na kołkach. Antoś siedzi przy warsztacie i splata biczyk.

Scena pierwsza.

Antoś

(przerywając robotę.)

Nigdy go nie skończę — ręce mi drżą jak we febrze. — Bez Tatka rady sobie dać nie mogę... Mój dobry Boże! czemu mię już wielkim nie zrobisz? Czemu ja nie tak silny i nie tak zręczny jak nasz czeladnik, co nas opuścił, porzucił? Dałbym wszystkiemu radę! — O Tatku ani słychu, od kiedy namówieni przez pana majstra Kilińskiego wyruszyli z sąsiadami do Kościuszki — Grosza niema w domu... Matula chorzy...

(po chwili)

Kiedy ja ten iczyk skończę?.. Panicz, co go upleść kazał, ma dziś przyjść po niego i zapłacić. Jak zobaczy niezdarną robotę, gotów nie wziąć, pieniędzy nie dać! Matko Boska! pomóż mi! Ja nie dla siebie, ja dla mej Matuli proszę! O! Matko Boska — nasza!

(pracuje gorliwie — wchodzi Funia i na palcach zbliża się do Antosia.)

Scena druga.

Antoś i **Funia.**

ANTOŚ.

(spostrzegając Funię.)

A co Matula?

FUNIA.

Spią teraz.

ANTOŚ.

Chwała Bogu!

FUNIA.

Za wszystko Bogu chwała, jak nas Matula uczyli. Ale jaki to sen — pożal się Boe! Twarz blada, oczy niezupełnie zamknięte; rękami rzucają, czasem je jak do modlitwy łożą i krzyż w powietrzu zrobią, jak to nad naszemi głowami zwykle czynią.

ANTOŚ.

Kochana Matula!

FUNIA.

Gdzieś tam serce jej cierpi, nie spi i czuwa nad nami; bo i przemawiają we śnie a głos taki słodki, że oglądam się na obrazek, czy to nie Częstochowska przemówiła? W niebie tylko taki głos być może! Jak powiedzą przez sen: Funiu! Antosiu! to mi łzy gwałtem do oczów się cisną i szlochać się chce, a boję się i uciekam do ciebie. (płacze.)

ANTOŚ.

Nie płacz, Funieczko! Bóg taki dobry, Tato i Matula tacy poczciwi, toż to oni z Bogiem dobrze znać się muszą. On nas i ich nie opuści. Ot! widzisz, nie łaskaż to z nieba, ja — co nie umiałem przy tatku nic zrobić, teraz, patrz!..

(pokazuje jej batożek.)

jaki siarczysty bicz plotę. Matuli mej pracy potrzeba, to Bog mię pracować nauczył.

FUNIA.

Tem bardziej mi smutno. Widać ja nie mam łaski u Boga, kiedym do niczego; kiedy ani tobie, ani Matuli pomódz nie mogę — nie umiem...

ANTOŚ.

Grzech tak mówić, Funieczko! A któż ciebie nauczył, jeśli nie Pan Bóg, abyś jakby już stara, tak czuwała, tak pielęgnowała chorą Matulę. Ty nie spisz, modlisz się i na skinienie Matuli jesteś ciągle; ja nie spię i pracuję. Jak Tatko powrócą, powiedzą: dobre dziatki!

FUNIA.

Ale kiedy powrócą, i czy powrócą?

ANTOŚ.

Jeszczeby! A czemużby nie mieli powrócić?

FUNIA.

A jak go' Moskale gdzie zabiją?

ANTOŚ.

(zrywa się od warsztatu.)

Jak? — to być może żeby Moskal mógł Polaka zabić!! Wszakżeś widziała jak to oni uciekali gdy we Wielki Czwartek pan majster Kiliński z innymi sąsiady szydłem ich z Warszawy wypędzili! A Tatko teraz przy panu Kościuszce, co to powiadają, ma takie czary, że z każdego człowieka strasznego żołnierza robi, a wszystko co pod ręką ludziska mają, w broń niezwalczoną zamienia.

FUNIA.

Ta-żem słyszała. Ale nim Tatko powrócą, Matula bez pomocy, a tacy chorzy! Nuż im się uprzykrzy i odejdą do Boga?

ANTOŚ.

Wstydź się Funiu! Matula nie zechcą dzieci swoich opuścić.

FUNIA.

Biedni my, biedni, i Matula i my! Już od wczora kawałka chleba nie ma w domu, i leków dla Matuli nie ma!

ANTOŚ.

A zapomniałaś co ksiądz od fary nam mówił: „Kogo Pan Bóg stworzy, nie umorzy“. Nie płacz Funieczko! Przeciaż ja mężczyzna. Nie dam zginąć wam — Ot

(bierze biczyk)

biczyk ukończę; panicz przyjdzie, bo obiecał; zapłaci dziesięć złotych i będziemy mogli tego ziela kupić, co jak doktor powiada, podźwignie Matulę z łóżka.

FUNIA.

A może, może ten panicz, gdy zobaczy że my tacy biedni i tacy mali przy Matuli chorej pracujemy, to narzuci co jeszcze i cytrynę dla Matuli będziemy mogli kupić.

ANTOŚ.

I to być może; ale to niepewna. Bogaci nie wiedzą co nędza, co bieda — gdzie im myśleć o nas! Ale gdy bardzo kontent będzie z biczyka, to może co na piwo mi da; o to podobno już ich zwyczaj taki, kiedy zadowoleni z biednych, to dają im pieniądze.

(C. d. n.)

Dzień ósmego kwietnia roku 1861 w Warszawie.

Cóż to słychać?... jęki drżące...
Cóż widać?... brzozy płaczące...
I krzyż przez ich szczyt wyniosły
To **cmentarz** kwiatami zarosły!
Ach! — to cmentarz pod **Warszawą**!
Powleczony smugą krwawą..,
Krwawą... nad mogiłą braci
Co im śmierć zadali kaci.
O! mogiło nasza święta,
Urąga ci moc przeklęta
Nowe szlą ci towarzyszki
Podłe — mongolskie opryszki —

Przed kilkoma dniami opisałem wam moi młodzi czytelnicy jedną z najpiękniejszych pamiątek narodu naszego — bitwę Racławicką. — Cieszyliście się zapewne i radowali, czytając o Panu Kościuszce i o dzielnych kosynierach naszych — bo czyż można się nie cieszyć i radować będąc Polakiem, na wspomnienie o dniu 4. kwietnia r. 1794? — Dziś chcę wam napisać o równie pięknej — ale smutnej pamiątce narodu naszego, — Przykro mi bardzo, że smutną opowieść wam kreślę, po której przeczytaniu nie jedna może łza boleści i żalu spłynie po licach waszych, ale trudno... będąc Polakiem i pisząc do polskich dzieci, muszę obznajamiać was z temi wszystkiemi cierpieniami i męczarniami, jakich naród nasz doznał od czasu, jak Moskale przemocą i gwałtem kraj nasz zawojowali.

Począwszy od rzezi owej strasznej, dokonanej na bezbronnych mieszkańcach przedmieścia Warszawskiego, Pragi, gdzie w jednym dniu więcej jak 20.000 bezbronnych mieszkańców wymordowali Moskale — upłynęło przeszło 60 lat, a w czasie tym nie ma roku, w którymby Moskale najszlachetniejszych mężów Polski za to, że pragnęli szczęścia i dobra dla swej Ojczyzny, albo nie mordowali okrutnie, albo nie więzili, katowali lub wysyłali daleko — daleko od Polski, na Sybir, gdzie ciągle prawie trwa mroźna lub słotna zima.

Smutno w polskiej było ziemi,
Smutna dziatwa i lud smutny:
Bo nad ojcy nad naszymi
Moskał pastwił się okrutny! —

Po trzydziestu latach takiej niewoli w roku 1831 chwycił naród polski za broń, chcąc wywalczyć dla siebie i swej dziatwy lepszą przyszłość — chcąc żyć swobodnie na swej rodzinnej ziemi, tak jak ongi żyli jego ojcowie. — Lecz i teraz — pomimo męstwa i odwagi, jakiej inne narody w swych dziejach nie wykażą — ulegli Polacy przemocy, bo Moskale sto razy więcej przywiedli żołnierzy, by tylko zgnieść i zabić szlachetnych ludzi, którzy dopominali się o prawa im przynależne, — o prawa mówienia swym własnym, ojczystym językiem, o prawa swobodnego mieszkania i chodzenia po swej rodzinnej ziemi — o prawa jakie mają nawet ptaszki i zwierzęta, mieszkające po lasach.

I znowu ubiegło lat trzydzieści... a Moskale jeszcze bardziej znęcali się nad Polakami. Młodych brali do wojska i wysyłali w dalekie strony, do granic Azyi, i zmuszali ich zwalczać i ciemiężyć inne wolne jeszcze narody; — nie pozwalali dzieciom polskim uczyć się w szkołach w swym własnym ojczystym języku; — gnębili drogą naszą wiarę katolicką, zmuszając gwałtem i przemocą lud nasz mianowicie na Litwie, Rusi, Wołyniu i Ukrainie do przyjęcia szyzmy, nie dali wreszcie szlachcie polskiej darować wieśniakom pańszczyzny, i właśnie tych szlachetnych obywateli — którzy się oświadczali po kilka razy za darowaniem robocizny i danin poddańczych najsrożej prześladowali, — jednem słowem, ciągle i ciągle gnębili i dręczyli tych wszystkich, którzy się ośmielali nazywać i być Polakami.

Nie mieliśmy broni — by znowu stanąć do walki z Moskalami, nie było ludzi co by i bez broni stanęli do walki — bo ojców i synów zagnali Moskale znowu gdzieś daleko od Polski, albo w okropnym pozamykali więzieniu. A więc tak jak zawsze, tak i teraz udawał się ten tak srodze nękany naród polski o pomoc do Pana Boga i żebrał zlitowania.

Dzieci polskie, polskie niewiasty i starcy bezsilni — i ta reszta nieliczna polskiej młodzieży, której jeszcze Moskale nie wzięli w sołdaty — gromadziła się po kościołach i w rzewnej modlitwie błagała Boga o litość i pomoc. — Kapłani polscy przy odprawia-



niu mszy świętej zalewali się łzami, prosząc Pana Boga o wolność i swobodę dla nieszczęśliwej Polski. Aleć i te modły do Pana Boga zasyłane, nie podobały się Moskalom, i cichej skargi w modlitwie chcieli Polakom zabronić. Gdzie tylko zoczyli gromadkę ludzi się mo-

dlących i śpiewających pieśni, bagnetami ją rozpędzali, nielitościwie zabijając bezbronne dzieci i kobiety.

W roku 1861 po kilkakroć strzelali Moskale na modlących się przed kościołami w Warszawie i innych miastach; lecz najkrwawszym dniem z pomiędzy tylu innych roku 1861, w którym przeszło 500 ludzi zamordowali Moskale na ulicach Warszawy — jest **dzień ósmego kwietnia**.

O godzinie 5 po południu w dniu tym powracało kilkanaście tysięcy ludu różnemi ulicami do domu z cmenturza na Powązkach, gdzie pogrzebano zwłoki, dopiero co do kraju przybyłego więźnia z Syberyi. Pomiędzy Chrześcianami było bardzo wielu Żydów, na polskiej urodzonych ziemi, a więc Polaków, tak samo jak my prześladowanych za miłość Ojczyzny. Na przedmieściu krakowskiem najpierw strzelili Moskale do wracających z pogrzebu, i kilkunastu ludzi zabili. Lecz reszta pozostałych ani się rozpierzchła ani cofnęła, chociaż nie mieli broni, by napad Moskali odeprzeć — owszem wszyscy, jakby jeden mąż, padli na kolana, wznieśli ręce ku niebu i zaspiewali, znaną wam zapewne pieśń: „Boże coś Polskę przez tak liczne wieki“ itd.

Na wieść o tych mordach coraz więcej przybiegało ludzi, a Moskale znowu poczęli strzelać, i znowu kilkudziesięciu zabili, lecz nasi i tą razą nie ustąpili z miejsca, tylko znosząc rannych w bezpieczne miejsca, kończyli spiewać na chwilę strzałami przerwaną pieśń. Wtem z bocznej ulicy wyszła nowa gromadka ludzi, na której czele szedł ksiądz zakonnik z krzyżem w ręku, sądząc iż uszanują Moskale ten znak zbawienia i przestaną mordować bezbronnych. Aleć dla dzikiego Moskala nie ma żadnej świętości! — Wpadli oni teraz jeszcze zaciekiej na klęczących i spiewających, kłuli bagnetami bez litości, księdza niosącego krzyż obalili na ziemię, wydarli mu krzyż z ręki i połamali na kawałki.

I na pochód procesyjny wpadła zbrojna siła,
I bezbronnych stratowala — krzyż nam zbezcześciła;
A choć krwi się lały strugi — chociaż ofiar tyle,
Zniósł je naród — jako **mąż** w moralnej sile.
Bo nasz puklerz: ufność w Boga — broń: władza modlitwy —
I zwycięzko Polak wyszedł z walnej z gwałtem bitwy, —
I jednomyślnie głos on podniósł tak potężny, pewny
Że aż krańców sięgnął świata — skutek sprawił rzewny.

Przerazili się Moskale i ulękli tego wielkiego męstwa i odwagi, poprzestali strzelać i kłuć bagnetami. Zaczęto zbierać rannych i poległych, ale natomiast Moskale zaczęli chwytać i więzić, mianowicie młodych i studentów. (Powyższa rycina przedstawia chwilę rzezi, kiedy procesya wyszła z bocznej ulicy — proście waszych kochanych rodziców i nauczycieli, by wam byli łaskawi wytłumaczyć i opisać pojedyncze osoby na niej przedstawione).

A teraz na zakończenie może zapytacie, zkąd Polacy zaczerpnęli tyle męstwa i odwagi, iż bezbronni nie ulękli się strzałów i bagnetów moskiewskich? — A ja wam odpowiem, iż ufność w pomoc nieba i w opiekę Pana Boga uzbroiła ich w takie męstwo.

Bo kto z Bogiem, z tym Bóg będzie
Litościw nawzajem,
A my z Bogiem zawsze, wszędzie,
Ojców obyczajem. —

Powiem wam dalej, iż miłośc Ojczyzny, miłość wzajemna wszystkich na biednej polskiej ziemi urodzonych, uszlachetniła, tak panów jak mieszczan, wieśniaków i żydów i do jednego wspólnego połączyła celu.

A choć krew strumieniem się leje
Aleć wiara, miłość tleje:
Miłość Polski — miłość bratnia
Pod nią peknie piekieł matnia.
I poznają wszystkie ludy,
Że Bóg Polsce zsyłał cudy,
Że jej zsyłał męczenników.
Zsyłał z nieba posłanników. A. K.

Rozmowa matki z dzieckiem.

(Przez Teofila Lenartowicza.)

(Ciąg dalszy.)

— Matulu moja! powiedzcież przecie,
Co tam jest więcej na tamtym świecie?

— Widziałam jeszcze: strasznej wielkości
Dwóch archaniołów stało w jasności,
Trzymając księgę białą otwartą,
A Piotr apostoł kartę za kartą
Przewracał zwolna z smutkiem głębokim,
I patrzał na świat żałośnym wzrokiem;
Bo w owej księdze wszystko tam stoi,
Co tylko człowiek na świecie zbroi;
I co się stało i co się stanie,
Jest o tem w niebie jasne pisanie.
Ta księga wszystko w sobie zawiera:
Czy się kto rodzi czyli umiera;
Kiedy śmierć człeka nędznego blisko,
To zaraz anioł czyta nazwisko.

— Moiście drodzy! powiedzcie ino:
Widać tam naszą wioskę jedyną?
Naszą chałupę, bydło na smugu?
Siostrę w zagonie, ojca przy pługu?
Widać tam dziewczę, co zbiera ziele?
I tego dziada, co przy kościele
Siedzi i obie wyciąga ręce,
Na małym wzgórku przy bożej męce?

— O widać wszystko, gdzie się kto ruszy,
Wiedzą tam dobrze o każdej duszy.
Jeżeli ludzie w grzechy popadną,
To zaraz z żalu anioły bladną;
A ile razy dobrzy cnotliwi,
To się i niebo całe ożywi.

— Powiedzcież jeszcze, mateńko droga,
Czyście widzieli i stwórcę, Boga?

— Nie! moje dziecko, przed Stwórcą świata
Tyle aniołów na skrzydłach lata,
Że jest okryty, jakby obłokiem,
Jak słońce srebrną chmurką przed okiem.
Tylko z promieni, co ztamtad lecą,
I na wybranych czołach się świecą,
Przedwieczną jasność oglądać może
Ubogi człowiek, stworzenie boże.

— A jak daleko matko do nieba,
To pewnwie z miesiąc iść tamby trzeba?

— Bogać tam miesiąc, kochane dziecię!
Iść tam potrzeba przez całe życie,
Czyniąc po drodze dobrego wiele,
Bijąc się mężnie, modląc w kościele,
Kochając ludzi jak braci własnych,
To w końcu dojdzie do niebios jasnych,
I Piotr mu święty, apostoł boży,
Złocistym kluczem niebo otworzy!

Z nauk przyrodniczych.

O rasach ludzkich.

(Ciąg dalszy patrz Nr 10.)

Dawniej kiedy podróże były daleko trudniejsze, daleko niebezpieczniejsze, nasi przodkowie nie wiedzieli o istnieniu ogromnych krajów, a tem bardziej i o ich mieszkańcach najmniejszego nie mieli pojęcia. — Wtedy wieści o ludziach, którzy się od codziennie spotykanych w czemkolwiek odróżniają, krążyły jako opowiadania, którym po części nie wierzono, i nie zajmowały one naszych przodków tak jak nas dzisiaj zajmują. — Rozmaicie oni o tych ludziach sądzili. — Niektórzy myśleli, że to są ludzie, którzy z nami nic wspólnego nie mają; inni przypuszczali, że to są zupełnie odrębne od nas istoty, które Bóg stworzył, tak jak stworzył małpy. — Może też byli i mądrzejsi, którym przychodziło na myśl, że mogą to być bliscy nasi pokrewni; większość jednak ludzi żyjących w owych czasach, kiedy książek nie umiano drukować i dzienników nie pisano, nie wiedziała nawet o tem, że są gdziekolwiek ludzie odmienni od tych, którzy w ich okolicy mieszkają.

Ta obojętność i ta niewiadomość długo trwały. Dopiero przed kilkuset laty przekonali się że ziemia nasza jest okrągłą kulą, a nie płaszczyzną bez końca, jak to myślano w starożytności

i w wiekach średnich. Pierwszy człowiek, który objechał w około całą ziemię, musiał być bardzo odważnym i bardzo śmiałym człowiekiem, — ale szczęśliwy jego powrót, i opowiadania o przeróżnych rzeczach, jakie zdybywał po widzianych krajach, i o nie wyczerpanych ich bogactwach, zachęciły wielu innych do naśladowania, tak że z dniem każdym liczba tych wycieczek coraz się bardziej zwiększała.

W podróżach tych, odbytych po najodleglejszych zakątkach ziemi, tyle uzbierano rozmaitych wiadomości, że wiele rzeczy będących dla naszych przodków zupełną tajemnicą dziś są nam dobrze znane, i żadnej nie podlegają wątpliwości.

Długa więc i mozolna praca obznajomiła nas dokładnie z tem, czego nas pismo święte nauczało, że wszyscy ludzie mieszkający na ziemi do jednej należą rodziny.

Rodzinę tę nazwano rodem ludzkim.

Powierzchowne nawet jego poznanie przekonało, że rozmaite części tej rodziny wzajemnie do siebie nie są podobne. Pierwsza więc rzecz było podzielenie jej na oddziały, z których każdego osobnem nazwano imieniem. W tym podziale nie można było postępować dowolnie; — ale liczne podobieństwa między jednemi narodami, różnice niemniej widoczne między drugiemi, były przyczyną, że zaliczono do jednego oddziału wszystkich bardziej podobnych do siebie ludzi, wszystkie bardziej zbliżone do siebie narody.

I takim to sposobem powstał podział całego rodu ludzkiego na rasy.

Dziś liczą pięć ras — Kaukazka, Mongolska, Murzyńska, Amerykańska czyli Indyjska, i Małajska.

Dwojakie są pomiędzy niemi różnice; — najwidoczniejsze, najwięcej w oczy wpadające różnice są w kolorze skóry, w kształcie i budowie ciała, w gatunku włosów. To są zewnętrzno-powierzchowne; — ale dla ludzi myślących nie są one jedynemi, jakich dopatrzyć można. Wiele jest innych mniej widocznych, ale za to daleko ważniejszych, a są niemi zwyczaje, sposób życia, zajęcia, zdolności i wykształcenie duszy i rozumu.

Ponieważ my należymy do rasy kaukazkiej, więc od niej zacznę moje opowiadanie. Ludzie do niej należący mają skórę właściwego jasnego koloru, i dla odróżnienia od innych ras, które mają płeć ciemniejszą, rasę kaukazką nazywają białą. Ruchy ich zgrabne, czoło wysokie i prostopadłe, oko ożywione i wyraziste, co nadaje całej postawie pewną wrodzoną szlachetność.



Trudno wam dzieci moje dać jeszcze pojęcie o powierzchownych różnicach, jakie zachodzą między człowiekiem rasy kaukazkiej i innymi. — Nie tylko opisanie ale i najdokładniejszy rysunek nie byłby jeszcze wystarczającym, trzeba widzieć ludzi innych ras, przypatrzyć się ich bezmyślności, ich obojętności na wszystko co ich otacza, żeby się przekonać, o ile w powierzchowności białych jest więcej powabu; a jednak powtarzam to raz jeszcze, że różnice powierzchowne są podrzędne. Prawdziwa wyższość rasy kaukazkiej wykazuje się w jej wykształceniu i w jej sposobie życia.

Narody innych ras żyją, albo przechodzą z miejsca na miejsce, bez żadnego przywiązania do rodzinnej ziemi, albo trudnią się polowaniem i rybołowstwem dla zapewnienia sobie codziennego wyżywienia — albo wyłącznie oddani są grabieży i rozbojom, które w ich przekonaniu nie są nawet naganne. — O tych później mówić będziemy.

C. d. n.

Zdania pisarzy polskich.

Uszlachetnić nieszczęście więcej jest niż w szczęściu być wielkim. Stanisław Potocki.

Pokonanym być może i naród wielki i szlachetny, zniszczeć tylko nikczemny.
Stanisław Staszyc.

Nie porzucaj nadzieje,
Jakoć się kolwiek dzieje:
Bo nie już słońce ostatnie zachodzi,
A po złej chwili piękny dzień przychodzi.
Jan z Czarnolesia.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Aleksander Kisielewski.** Z drukarni Dr. H. Jasieńskiego.